

Z BIAŁORUSI.

Upalny dech letniego południa omotał świat nadwodny. Lekkim trzepotem chybotały się smukłe ważki, z ostrym pobrzękiem przecinał powietrze srogi rabuś—wielki szklarz o tułowiu rdzawo prążkowanym.

W ciemnych korytarzach, utworzonych ponad kanałem wodnym przez splecione gałęźmi drzewa i krzewy, nieruchome powietrze pełne było woni roślin błotnych, skwarną ciszę przerywało tylko od czasu do czasu delikatne kwaknięcie obudzonej z drzemki kaczki, lub nieuchwytny szelest łapek wodnika, przebiegającego jak lotny cień, po błotnym kożuchu.

Lekkie płaskodenne czółno bez szmeru sunęło po czarnej wodzie głębokiego kanału. Siedziałem na dziobie bez ruchu, wpatrzony przed siebie, wrośnięty wszystkiemi nerwami w otaczający mnie tajemniczy świat wodny, z napięciem wsłuchany w znajome, umiłowane od dzieciństwa szelesty ukrytego życia.

Świetnego miałem przewodnika w osobie młodocianego białorusina Jaśka. Chłopak ten o pogodnej twarzy dziecka nie widział nic poza przyrodą. Od dzieciństwa włóczył się po lasach, znał tajnie niedostępnych mateczników, wślizgiwał się jak wąż w oczerety nadwodne i całemi godzinami żył ich życiem. Mały i wątły kierował jednak po mistrzowsku, czółnem na zawiłych ścieżkach, między splątanemi krzami łozy, wysokiemi kępami, zatopionemi przez wodę, w labiryncie trzcin i traw nieprzebytych. Nie stuknęło wiosło, nie trzasnęła zaczepiona gałąź, lekkim szelestem szumiały tylko niekiedy trawy, gdy czółno wężowym ruchem pełzło po ich powierzchni.

Co chwila rwały się kaczki, to wprost przed czółnem, to znów z boku. Krzyżówki kwacząc niekiedy z przestrachu, z głośnym łopotem piętrzyły ku górze swe ciężkie ciała, albo chyłkiem, cichutko porywała się cyranka z lekkiem tylko furknięciem, biorąc odrazu szybsze tempo.

Huk strzału mącił ciszę, siejąc popłoch w poblizkich rzeszach, dalsze jednak siedziały twardo, przywarowując w gęstych trawach, ufne w bezpieczne przykrycie, rozleniwione przez żar słońca, lejącego ognistą lawę promieni z nieba bez chmurki.

Strzelałem tylko do zrywających się blizko i pewnych sztuk, a to z tej racji, aby jak najmniej mieć postrzałków niepodobnych do odnalezienia w nieprzebytej puszczy traw i krzaków, gdzie z powodu wysokiej wody nie można było skorzystać z usług dzielnego psa, niezawodnego pomocnika łowieckiego.

Po trzech godzinach ustawicznego bobrowania powróciło me czółno ku miejscu, skąd wyruszyliśmy, wioząc łup bogaty, zdobyty nieskończenie urozmaiconemi i ciekawemi strzałami, dawanemi to do zrywających się kaczek, to do śmigających jak strzała nad wodną powierzchnią, a trudnych z powodu chwiejności i chybotania się czółna.

Miałem wrażenie, że jeżdżę po dzikim zakątku Polesia, gdzie zrzadka tylko człowiek zagląda. Mimowoli oko szukało w gęstwinie splątanych krzaków zarysów chatki bobrowej.

Myliłby się jednak ten, ktoby tak sądził, gdyż to nadzwyczaj miłe polowanie odbywało się na olbrzymim stawie prawidłowego gospodarstwa rybnego w Malinowszczyźnie, położonej w ziemi wileńskiej, a należącej do p. Bolesława Świętorzeckiego, zasłużonego prezesa Wileńskiego Towarzystwa Myśliwskiego,

Zaproszony przez gościnnego nad wyraz gospodarza, spędziłem wraz z redaktorem Ejsmondem niezapomniane chwile w tym uroczym zakątku wodnym.

Rezultatem naszego trzygodzinnego polowania na stawie Hrycowskim, było przeszło czterdzieści kaczek i prześliczny bąk duży, zabity przez gospodarza.

Dodatni ten rezultat łowów zawdzięczać należy poza sprawnością przewodników, w pierwszym rzędzie nieocenionej radzie, danej nam przez pana Świętorzeckiego.

Polegała ona na tem, aby po pierwszym strzale, który najwięcej kaczki płoszy, schować się wraz z czółnem w krzaku, nie strzelać do przelatujących nad głową i wyruszyć dalej dopiero wówczas, gdy wszystkie spłoszone ptaki posiadają. Po drugim strzale, płoszącym już znacznie mniej sztuk, schować się raz jeszcze, a wówczas kaczki, oswojone z hukiem, zrywają się tuż blizko, najeżdżane dziobem łódki.

Włodzimierz Korsak

Broń i strzelanie.

Czy należy strzelać z oczyma otwartemi, czy też przymykać jedno oko?

Anglicy zalecają strzelać z otwartemi oczyma. J. D. Dougall przytacza jako analogję wbijanie gwoździa w ścianę. Czynimy to mając oba oczy otwarte, a jednak młotek zawsze trafia w gwóźdź. Analogja tu jest jednak tylko pozorna; gdy cel stały — chodzi jedynie o nadanie kierunku młotkowi, podczas kiedy na polowaniu cel jest ruchomy.

Piaut Beaurevoir radzi zatem strzelać mrużąc lewe oko, ale jedynie w momencie strzału. Mierzyć należy z otwartemi oczyma i po strzale natychmiast oczy otwierać.

Jak należy składać się do strzału?

Istnieją pod tym względem dwie metody. Jedni radzą przy składaniu się zginać lewą rękę, inni radzą ją wyciągać wzdłuż lufy. Obie metody posiadają dodatnie i ujemne strony.

Strzelając z lewą ręką wyciągniętą łatwiej poruszamy bronią wślad za uciekającą zwierzyną, trudniej zaś ręką. Gdy strzelamy z lewą ręką zgiętą rzecz się ma odwrotnie: łatwiej poruszać ręką, trudniej bronią.

Najlepszą jest pozycja pośrednia, w której mierzenie odbywa się z najmniejszym wysiłkiem. Pozycja ta jest inną dla każdego strzelca: zależy ona od długości ręki strzelającego, od jego siły, od długości i wagi luf i od środka ciężkości broni.

Każdy myśliwy może dojść do określenia idealnej pozycji lewej ręki jedynie na zasadzie doświadczenia i praktyki łowieckiej.

Łuk i pistolet, jako sporty kobiece we Francji.

Francuskie kobiece stowarzyszenia sportowe wprowadziły do swoich programów obowiązkową naukę strzelania z łuku i z pistoletu.

We Francji mamy obecnie przeszło 20 tysięcy łuczników, w tem znaczną ilość kobiet.

Nauka strzelania doskonali spostrzegawczość, wyrabia zimną krew, siłę woli i panowanie nad sobą.

Strzelanie z łuku sprzyja pozatem ogólnemu rozwojowi sił fizycznych, doskonali zręczność i sprawność mięśni.

Dobrze byłoby, aby i nasze stowarzyszenia kobiece poświęcone sportowi pomyślały o wskrzeszeniu łucznictwa.

Rachunkowość myśliwska

Obliczenie wystrzelanych ładunków i zabitych sztuk jest dla każdego z nas pracą niesłychanie pożyteczną. Z zestawienia cyfr widzimy czy strzelamy coraz lepiej czy też coraz gorzej. W ostatnim wypadku rozpatrujemy, jakie są powody złego strzelania i staramy się zapobiedz im na przyszłość.

Wszystkim naszym czytelnikom (którzy tego dotąd nie czynią) radzimy zaprowadzić myśliwski „rachunek sumienia“ według następującego wzoru:

Data	Rodzaje zwierzyny					Uwagi
	Zające		Kuropatwy		etc...	
	Ład.*)	Szt.*)	Ład.	Szt.	. . .	
Razem:						
Procent:						

*) Ład. — ilość wystrzelonych ładunków.
*) Szt. — ilość zabitych sztuk.

W uwagach podawać należy dane dotyczące terenu i pogody. Obliczać % celnych strzałów (i pudeł) dla każdego rodzaju zwierzyny oraz procent ogólny celnych strzałów (i pudeł).

Rachunki najlepiej prowadzić sezonowo (sezon wiosenny, sezon letni, sezon jesienny i sezon zimowy) oraz rocznie. Da nam to cenne wskazówki i dopomoże nam udoskonalić strzelanie.

Z wielką korzyścią pozatem będzie prowadzenie specjalnej książeczki pudeł w której po polowaniu notować będziemy nasze złe strzały oraz powód pudła. Skrupulatny i szczery „rachunek sumienia“ pod tym względem ustrzeże nas na przyszłość od wielu błędów strzeleckich i zaoszczędzi nam dużo ładunków.

J. E.

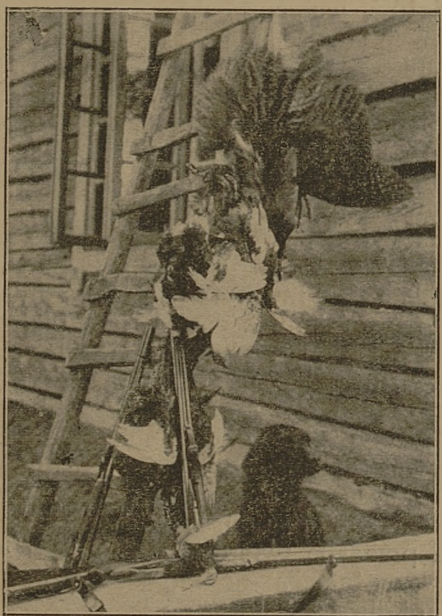


Na pardwy.

(*Dokończenie*).

Rozgrzany w słońcu mszar. Ciepła, upajająca woń bagna, pijanic i rdzawego mchu... Karłowate sosenki i brzózki...

Z gajowym Antonem i wyżlicą Neptą zapuszczam się w miękkie mchy Czarnego Zdroju... Z prawej strony idzie przemiły gospodarz polowania prez.



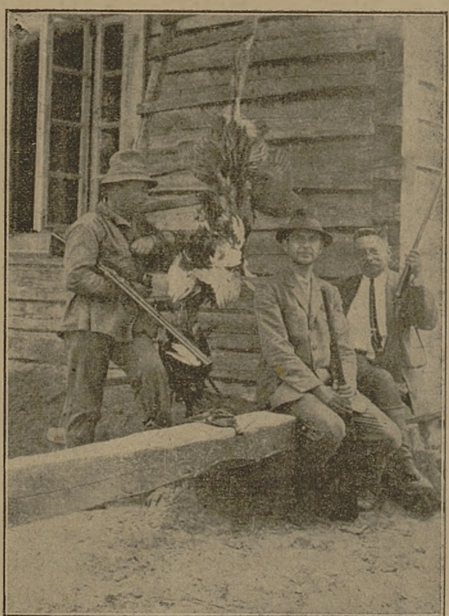
Trofea polowania w Malinowszczyźnie: bąk, pardwy i cietrzewie.

Świętorzecki, z lewej—Włodzimierz Korsak... Wszyscy mamy jedną myśl, jedno pragnienie, jedno pożądanie gorące, by spotkać upragnione ptaki o śmigłych białych skrzydłach i rdzawem pierzu... I oto nagle na lewo słyszę dwa strzały. Cietrzewie, czy pardwy—jeszcze nie wiem. Lecz gajowy z którym idzie autor „Roku myśliwego“, woła na nas... Lecimy po mszarze na skrzydłach namiętności łowieckiej—fruniemy przez bagniste kępy—przeskakujemy błota grząskie i przybywamy tam, gdzie padły pierwsze strzały... Korsak strzelał do pardw. Pociągnęły ku brzozowemu zagajowi i zapadły śród drzew... Dążymy ku nim... Nagle pies staje. Stoi twardo. Mimo zachęty nie rusza naprzód... I oto widzimy w trawie leżącą pardwę — zabitą pierwszemi strzałami mego towarzysza...

Psy stają znowu... Serce wali mi młotem... Lecz rwie się cietrzew farbowik, którego strąca celny strzał Korsaka. Pardw ani śladu. Napróżno przechodzimy małą gęstwinkę we wszystkich kierunkach...

Postanawiamy rozejść się powtórnie. Znowu wkraczam w miękką topiel mszaru pełnego jagód, gorących woni i słodkich obietnic łowieckich. Nepta zacina się... staje... I poczynamy posuwać się naprzód krok za krokiem... Nagle pies zatrzymuje się twardo z nosem zwróconym ku wielkiej kępie bagna... Rwą się cztery cietrzewie z których dubletem strącam dwa. Nepta aportuje mi oba piękne ptaki.

Idziemy dalej po rozpalonym, wilgotnym, zawrotnie pachnącym mszarze... Z gwałtownym krzykiem: „gar — gar“ rwie się w gęstwinie kogut pardwi... Słyszę go—ale nie widzę. Strzelać nie sposób...



Po polowaniu na pardwy: pp. Włodz. Korsak, red. Ejsmond i prez. Świętorzecki.

Po myśliwskim śniadaniu ruszamy z powrotem na mech. Wracamy tam, gdzie rano Korsak spotkał pardwy... Zabijam cietrzewia — ale pardw nie widzę. Wtem Nepta znowu staje...

Tym razem pewien jestem, że to pardwy. Pies patrzy w małą kępkę rudego mchu. Na gołym

mszarze nie widzę nic... Może to świeży ślad?... Lecz Nepta zbyt twardo stoi...

Moi towarzysze polowania, stojący niedaleko, patrzą na mnie bacznie... Bezskutecznie naglę psa. „Pójdź dalej...“ I oto nagle ruda kępa mchu porywa się do lotu... Biały błysk rozportartych skrzydeł... Mój nagły i spłoszony strzał...

Podbiegam i z radością widzę na ziemi zabitego czarownego ptaka, o którym marzyłem tyle nocy w najpiękniejszych moich łowieckich snach...

Każdy rodzaj łowów ma swoją cudną poezję i właściwy czar... I każde z polowań jest najpiękniejsze, jeżeli duszę mamy wrażliwą na piękno boskiej przyrody, która nas otacza dokoła...

Lecz gdy w chwilach smutnych i złych, których nie szczędzi nam życie, przesuwać będę drogocenny rożaniec moich wspomnień myśliwskich—jedną z najpiękniejszych pereł w tym rożańcu będą wspomnienia Czarnego Zdroju... Wspomnienia jednak jak perły mają w sobie coś z klejnotów i coś z łez...

Juljan Ejsmond.

Ptaki morza polskiego.

Zdawałoby się, że w Polsce wiele można znaleźć okolic obfitszych w ptaki niż brzegi morza, jednak jeżeli chodzi o ilość możliwych do spotkania w ciągu roku gatunków, to niezawodnie pierwsze miejsce otrzyma pas nadmorski.

Aby zrozumieć to dziwne na pozór zjawisko, musimy zagłębić się trochę w dziedzinę życia ptaków. Pod względem sposobu bytowania możemy podzielić ptaki, spotykane w Polsce na pięć wybitnych grup: ptaki stałe, ptaki lęgowe, ptaki przelotne, ptaki zimujące i ptaki wędrowne. Stałymi nazwiemy te, które rok okrągły mieszkają w danej okolicy; mamy takich w Polsce stosunkowo niedużo, jak np. wróbel, sójka, kuropatwa. Ptakami lęgowemi są te, które się u nas lęgną, ale opuszczają nasz kraj na zimę, odlatując na południe. Ptaki przelotne będą te, które, lęgnąc się bardziej na północy lub wschodzie, jesienią i wiosną przelatują nad Polską, zatrzymując się niekiedy. Ptaki zimujące te, które lęgną się na północy lub wschodzie, stale u nas zimują, jak np. myszołów północny czyli włochaty, a ptaki wędrowne te, które lęgnąc się gdzieindziej, zjawiają się u nas wypadkowo, chociażby corocznie. Oczywiście wiele jest gatunków przejściowych, np. kaczka krzyżówka pośrednia pomiędzy kategorją stałych a lęgowych ptaków.

Przy ustaleniu fauny ptasiej Polski, trzeba mieć na uwadze wszystkie te grupy, jednak najłatwiejsze do badania są dwie pierwsze: ptaki stałe i lęgowe; trudniejsze nieco zimujące, a najtrudniejsze, ale zarazem najciekawsze przelotne i wędrowne.

Przeloty i wędrówki ptaków są dziedziną najmniej zbadaną w całej ornitologji, a to z tej racji, że wymykają się w przeważająco większej części naszej obserwacji, odbywającej się najczęściej w nocy i na wysokościach niedostępnych zmysłom ludzkim.

Drogi przelotów są bardzo rozmaite i jeżeliby ktoś stworzył mapę Europy z uwzględnieniem tych dróg, to z pewnością otrzymałby dziwaczną sieć krzyżujących się ze sobą, nieraz sprzecznych i na pierwsze wejrzenie nielogicznych dążeń. Pamiętać należy, że ptaki odlatują ze swych miejsc lęgowych nietylko w cieplejsze okolice — ku południowi, niektóre bowiem gatunki lecą tam, gdzie mają zimą żer zapewniony, nie obawiając się chłodów, nieraz silniejszych niż w miejscach lęgowych (np. kaczki krzyżówki).

Przeloty, jak już rzekłem, w lwiej swej części odbywają się ogromnie wysoko i wówczas nie odgrywa zapewne roli geografja leżącej gdzieś w dole ziemi. To jednak co my nazywamy popularnie przelotami, a co stanowi zaledwie znikomy procent ogólnych przelotów, jest w wielkiej zależności od topografji mijanych miejsc, a więc od pasm gór, a zwłaszcza kierunków rzek, zbiorowisk jeziornych i wybrzeży morskich.

Brzeg morski (o ile nie jest bardzo głęboko wciętą zatoką) przedstawia prawie bez wyjątku drogę lotną ptaków, możemy więc z tego wnosić, że i nasze wybrzeże, zwłaszcza w swej najbardziej północnej części, stanowi taką drogę i jako taka, gości wielką ilość przelotnego ptactwa. Ponieważ Polska niema granic naturalnych (poza wąskiemi skrawkami morza i niewysokiemi, a zatem nie mającemi zbyt wielkiego znaczenia Karpatami), nie stanowi też wyłącznej dziedziny jakiegoś gatunku ptasiego, wszystkie lęgnące się u nas ptaki mieszkają też i gdzieindziej i trafiają się w przelocie nad Bałtykiem. Prócz tych zaś spotkać tam można ogromną ilość gatunków północnych i wschodnich, z rzadka tylko lub wcale nie spotykanych w reszcie kraju, tak, że nie będzie przesadą twierdzenie, iż pobrzeże Bałtyku można uważać za najbogatsze pod względem ornitologji okolice Polski.

Tak mówi teorja. W praktyce jednak dotychczas nie mamy na to danych. Ilość obserwacji na tym małym skrawku jest tak znikoma, że nic jeszcze pewnego nie można powiedzieć o przelotach nadmorskich w Polsce. Niemcy mając długą linję wybrzeża morskiego i bogate w przeloty wyspy (jak np. Helgoland) nie zwracali uwagi na półwysep Hel, mając stacje do badań ornitologicznych w Rositten na mierzei Kurońskiej, w Polsce zaś nikt dotąd z osób majętnych nie zainteresował się tem praktycznie, a rząd również kredytów na to nie udziela. Opracowany przezemnie projekt założenia stałej stacji ornitologicznej na polskiem wybrzeżu, przyjęty bardzo przychylnie i intensywnie poparty przez Zarząd Warszawskiego Muzeum Zoologicznego, od dwóch lat spoczywa jak w grobie w Wydziale Nauki Ministerstwa Oświaty. W roku zeszłym otwarte coprawda zostało w Helu Morskie Laboratorjum Rybackie i kustosz tegoż tworzy zbiory przyrodnicze, nie będąc jednak specjalistą ornitologiem, nie może

postawić badań tak, jak by należało, wydelegowany zaś z Poznania na wiosnę roku zeszłego p. Sokołowski został uposażony w taką sumę pieniężną, że starczyła mu ona na miejscu zaledwie na tydzień, co oczywiście żadnych pozytywnych skutków odnieść nie mogło. Badania powinny być prowadzone rok okrągły przez szereg lat, wówczas dopiero można się spodziewać bogatych rezultatów, których ideałem może być praca niemieckiego ornitologa Gätkego, prowadzącego badania na wyspie Helgoland przez lat 60 bez przerwy.

Spędzałem nad morzem polskiem wakacje w ciągu trzech lat i pomimo, że jest to czas najmniej odpowiedni, gdyż okres lęgów i spokoju w życiu ptaków, jednak przekonałem się z nielicznych danych, a także z opowiadań miejscowej ludności, że przeloty jesienne i wiosenne muszą być nader intensywne, przedstawiające ogromne pole do ciekawych badań.

Nawet latem, a zwłaszcza już w połowie sierpnia spotykałem dużo gatunków nielęgnących się wcale w Polsce, jak: szlamnik rdzawy, biegus islandzki, siewnica, biegus krzywodzioby i górny, brodziec kwokacz i śniady, kulig średni, kormoran, kaczki markaczki, tracze. Drobne ptactwo śpiewające przelotne jeszcze się wówczas nie zjawiało, przypuszczam jednak, że i ono przelatuje w jesieni w dużych ilościach. Co do kierunku lotu nie mam dokładnych danych, prócz nielicznych wskazówek w broszurce p. Sokołowskiego. Znalazł on, że wielkie ptaki, jak bociany, lecą wprost na północny wschód, a kierunek wybrzeża, nad którem przelatują, nie odgrywa żadnej roli; czajki lecą przez półwysep Hel wprost na półwysep Prus Wschodnich, a wrony, kawki, gołębie, szpaki i skowronki z cypla Helu na ląd w okolicy Gdańska.

Pazatem obserwowałem fakt, który stwierdza, że szpaki, drożdziki i drozdy śpiewające lecą również z cypla Rozewia wprost przez pełne morze, zapewne na półwysep Wschodnich Prus. Dowód tego znalazłem w roku 1922, odgrzebując na plaży w Jastarni ogromne ilości resztek tych ptaków, przyczem znajdowały się one w takiej odległości od linji brzegu, że widać było z tego, iż wyrzucone zostały przez silne północno-wschodnie fale, nawiedzające brzeg w lutym i marcu.

Gdy się patrzy na mapkę naszego pobrzeża, można stworzyć następujące hipotezy dróg przelotu: 1) ciąg przypadkowy przez ptaki wysokiego lotu w jesieni z północy na południe, z północno-wschodu na południo-zachód i ze wschodu na zachód, a wiosną na odwrót. 2) Ciąg ogólno pobrzeżny, idący w jesieni wzdłuż mierzei Kurońskiej na półwysep Prus Wschodnich a stamtąd przez pełne morze wprost na cypel Rozewia i dalej wzdłuż brzegu (wiosną w odwrotnym kierunku). 3) Ciąg ściśle pobrzeżny, idący jesienią wzdłuż mierzei Kurońskiej, potem Fryzkiej, a potem albo wzdłuż brzegu Reda—Puck na Rozewie, albo przez zatokę Gdańsk — Hel i potem wzdłuż półwyspu Hel. Jeżeli drogą 1-szą będzie szła ogromna większość wszystkich gatunków, to resztę przelatujących można określić i traktować niby maruderów ogólnego lotu, którzy zależnie od różnych nieznanych nam bliżej okoliczności lecą wolniej, z przystankami, znacznie niżej i linjami bardziej krętemi.

Avifauna miejscowa Bałtyku jest bardzo nieliczna w porównaniu do innych mórz otwartych, a zwłaszcza wysp niedostępnych o skalistych wybrzeżach. Masowych miejsc lęgowych (t. zw. gór ptasich) spotykanych u wybrzeży Szkocji, Farröer, Lofodów i pobrzeża Skandynawskiego nie ma tu wcale, zwłaszcza w południowej części o brzegach płaskich i zaludnionych. Poza wiosennemi i jesiennemi przelotami najliczniej reprezentowane są mewy i kaczki. Często spotykamy u wybrzeża polskiego mewę siodłatą (larus marinus), mewę zwykłą (larus canus) a także rybitwę (sterna hirundo). Z kaczek najczęściej widuje się czarne markaczki (oidemia nigra) to pojedyńczo lub po kilka sztuk, to w olbrzymich stadach, które zwłaszcza przy gładkiej wodzie trzymają się często w odległości paru kilometrów od brzegu i dobrze są widoczne. Dużo widzieć się daje perkozów dwuczubnych (podiceps cristatus) z początku na zatoce w miejscach lęgowych, potem w rodzinnych stadkach na pełnem morzu, widać też stadka traczy (mergus serrator), nury czarnoszyje (colymbus arcticus) pojedyńczo lub parami, niekiedy krzyżówki, a na zatoce krzyżówki i podgorzałki.

Na samym półwyspie Hel avifauna lęgowa jest ogromnie uboga: po za wróblem, ziębą, muchołówką szarą, białożytką, pliszką białą, skowronkiem leśnym i sikorą sosnówką, spotkałem jedynie kaczkę krzyżówkę, czaplę, słomkę, (w błotnistym lesie pomiędzy Jastarnią a Kuźnicą) czajkę, dżdżownika rzecznego, myszołowa zwyczajnego.

Na przelotach zato nie jest wykluczone spotkanie tak rzadkich gatunków, jak: siewka amerykańska (charadrius dominicus), siewka aleucka (charadrius semipalmatus) płatkonóg płaskodzioby (phalaropus hyperboreus), brodziec popielaty (totanus incanus), brodziec wschodni (totanus guttifer), brodziec amerykański (bartramia longicauda), biegus japoński (tringa crassirostris), łabędź mały (cygnus bewicki), gęś biała (anser hyperboreus), bernikla rdzawo-szyja i białolica (branta ruficollis et leucopsis), gęś nowoziemska (anser carneirostris), miękkopiór okazały (somateria spectabilis), gągoł islandzki (fuligula islandica), markaczka czerwonodzioba (oidemia perspicillata), kaczka wzorzysta (histrionicus histrionicus), nur białodzioby (colymbus adamsi), a także nawozowce (stercorarius), petrele (fulmarus), alki (alca) maskonury (fratercula).

Wielkie przeloty ptaków dla zmiany klimatu lub pożywienia są zjawiskami do pewnego stopnia żywiołowemi, a pobudką i sterem odpowiednich czynów jest wszechmocny instynkt, którym obdarzone są przez naturę stwory dzikie, a który człowiek postradał przez oddalenie się od przyrody.

(d. n.) *Włodzimierz Korsak.*

Hodowla lisów w Japonji.

Nawiązując do artykułu pana Trybulskiego w numerze 10-ym Przeglądu Myśliwskiego, o hodowli zwierząt futerkowych w Ameryce, mam zamiar odtworzyć wrażenia i spotrzeżenia co do hodowli lisów w Japonji. W czasie gdy przebywałem w tym kraju (1911 rok), najwyższym autorytetem w sprawie hodowli lisów był pan Watase, profesor Cesarskiego Uniwersytetu w Tokjo. On to właśnie spowodował rząd japoński do założenia pierwszej fermy doświadczalnej dla hodowli czarnego lisa. Hodowla ta została zapoczątkowana w roku 1915; czarne lisy importowano z wyspy księcia Edwarda; bez względu na długi przejazd morzem i inne trudności, transport odbył sią nadzwyczaj szczęśliwie.

Rządowa ferma mieści się w pobliżu miasta Toyohara (dawna rosyjska Władimirowka) na południu wyspy Sachalin, której południowa część została odstąpiona przez Rosję w wyniku wojny rosyjsko-japońskiej; ferma ta, w roku 1919, posiadała już około 45 lisów czarnych obojga płci.

Oprócz rządowej fermy powstały już dwie większe, prywatne, należące jedna, do Rosyjsko-Japońskiego Towarzystwa Rybackiego (posiada 55 lisów), druga do specjalnie utworzonego Towarzystwa Akcyjnego; tą ostatnią fermę prowadzi specjalista kanadyjczyk, który osobiście przywiózł reproduktorów z Ameryki.

Oprócz wyżej wymienionych istnieje Towarzystwo Akcyjne do hodowli lisa błękitnego, które posiada dwie fermy; jedną na Sachalinie w pobliżu Manka, największego niezamarzającego portu zachodniego wybrzeża, a drugą w północnej części głównej wyspy japońskiej, o pół godziny drogi od Asamuschi.

Niebieskie lisy zostały tam sprowadzone z Kanady, we wrześniu 1918 roku w ilości 15 par, a na wiosnę 1919 roku urodziło się około 30 sztuk młodych.

Istnieją też drobne przedsiębiorstwa tego rodzaju, gdyż rząd z początku chętnie udzielał zapomóg i porad fachowych, celem rozbudzenia inicjatywy. Powstała jednak ostatniemi czasy obawa, że drobne fermy, goniąc za większym zarobkiem, będą się starały wyprodukować jaknajwięcej futer, nie dbając o gatunek, i w ten sposób mogą wyrobić złą markę japońskiemu towarowi.

Klimat Sachalinu, nawet w południowej części, jest bardzo surowy — przeciętna temperatura roczna wynosi tylko + 1,5° C., najwyższa + 35° C., najniższa — 42° C.; wobec tego, nadaje się właśnie świetnie do hodowli białego, niebieskiego i czarnego lisa. Ponieważ robotnik w Japonji jest znacznie tańszy, niż w Ameryce, ten rodzaj hodowli ma przed sobą świetne warunki rozwoju.

Fermy lisie są zazwyczaj jednego typu, i składają się z szeregu zagród, każda o powierzchni 3-ch kwadratowych metrów; zagroda taka jest otoczona siatką do 5 ciu metrów wysoką; sieć jest wpuszczona w ziemię na jeden metr głęboko i zagięta ku środkowi zagrody zarówno u dołu, jak i u góry, co znacznle utrudnia lisom ucieczkę. Naogół bowiem lisy łażą i skaczą jak akrobaci, i trzeba ciągle zwracać baczną uwagę na całość ogrodzenia. Zresztą cała ferma jest jeszcza otoczona siatką wysokości 3 ch do 4-ch metrów.

Lisy nie lubią zbytniego słońca, nawet w zimnym kraju i przy zakładaniu fermy należy zwracać uwagę, aby każda zagroda miała drzewo, dające dostateczny cień.

W każdej poszczególnej zagrodzie buduje się wprost na ziemi domek, dając doń wejście w formie krytego tunelu; wnętrze domku podzielone jest na dwie części, z których jedna stanowi przyszłe gniazdo. Samiczka urządza gniazdo sama, ścieląc je wyskubanym z piersi puchem; powodowana dbałością o swe potomstwo, wydziera nieraz puch w ilości szkodliwej dla własnego zdrowia. Drugą połowę domku wysypuje się opiłkami, mającemi chronić od zimowych chłodów. Cały domek ma c/a $^3/_4$ metr. kwadr. powierzchni.

Czystość jest nieodzownie konieczną dla dobrego rozwoju hodowli; świeżo, często zmieniana woda jest również niezbędnie potrzebną. Lisy coprawda piją niewiele, natomiast bardzo chętnie zanurzają w wodzie pyszczek, wobec czego wodę stawia się w naczyniach niewywrotnych.

Lisa karmi się dwa razy dziennie, dając mu za każdym razem ćwierć kilo pokarmu: surowego mięsa, surowej ryby lub tłuczonych kości, przyczem dobrze jest zmieniać menu co czas pewien. W Japonji, większość hodowców, dla oszczędności karmi lisy samą tylko rybą, jednakże zdaje się, iż system ten, ujemnie wpływa na gatunek futra.

Z jednego pomiotu lis ma 2 — 5 szczeniąt; ogólnie biorąc, o ile urodzi się troje małych, to rezultat hodowli należy uważać za pomyślny.

Poród następuje zwykle przed 1-ym maja, poczem, w ciągu trzech lub czterech miesięcy, całą rodzinę hoduje się razem. Po upływie tego czasu małe liski przenosi się do oddzielnego domku i karmi się mlekiem, jajkami, sucharkami i mięsem, jaknajbardziej urozmaicając pokarm.

Pary dobiera się zazwyczaj w ósmym lub dziewiątym miesiącu życia; samiczka bywa zapładnianą już w pierwszym roku jesienią. Samiec we wspólnem pożyciu jest bardzo zgodny, ogromnie troszczy się o rodzinę i w razie straty samicy pozostaje do śmierci samotnikiem. Wobec powyższego, staranne dobieranie par ma wielkie znaczenie.

Rodzice, jak już nadmieniłem, bardzo się o swe małe troszczą, oddając im często niedźwiedzie usługi. Zdarza się naprzykład, że zdenerwowana samica wietrząc niebezpieczeństwo i starając się ukryć małe, wynosi je z gniazda i zagrzebuje w śniegu, gdzie często odnajduje się je martwe.

Często także rodzice morzą się głodem, oszczędzając żywność dla dzieci i zagrzebując ją w ziemi lub śniegu, gdzie się potem staje pastwą kruków i wron.

Zdarzyło się raz, że matka, karmiąca małe zachorowała i musiano ją oddzielić od potomstwa; na miejscu chorej umieszczono dużą kotkę, która okazała się znakomitą wychowawczynią, a nawet powierzone jej opiece stworzonka były daleko grzeczniej-

sze niż inne. Naogół bowiem małe liski w przeciwieństwie do starych są wielce kłótliwe; cały czas niemal walczą między sobą, silnie się nieraz kalecząc.

Lisy najlepiej jest zabijać zimą, w trzecim lub czwartym roku życia. Co do cen futra, to skórka błękitnego lisa kosztowała na miejscu produkcji od 250 do 300 jen. (c/a 800 zł.); skórka czarnego lisa od 800 jen wzwyż (przeszło 2000 zł.). Ceny reproduktorów są znacznie wyższe: para dobrych czarnych lisów kosztuje od 15 do 25 tysięcy jen (c/a 50 tys. złotych). Parę drugo lub trzeciorzędnych reproduktorów można kupić za 3000 jen; w rezultacie jednak oszczędność ta przynosi zazwyczaj stratę. Z powyższego wynika, że do podjęcia hodowli lisów potrzebny jest znaczny kapitał; kapitał ten jednak, jak wynika z dotychczasowego doświadczenia, rentuje się bardzo dobrze.

Na zakończenie, jeszcze parę spostrzeżeń, co do różnicy pomiędzy błękitnym, a czarnym lisem.

Czarny lis jest nadzwyczaj płochliwy i nerwowy. Błękitny, jak również zbliżony doń biały lis, nie boi się hałasu i widoku ludzi.

Błękitny lis jest właściwie barwy popielatej, z lekkim błękitnawym odcieniem. Spotykane nieraz bardzo wyraźnie błękitne futra, są to naogół falsyfikaty, przeważnie z Lipska, gdzie się odpowiednio farbuje zwyczajne lisy lub koty.

Piękność czarnego lisa zależy od srebrnego zabarwienia jego futra, przyczem — szczegół mało znany — koniec kity musi być śnieżno-biały.

Sądzę, że w Polsce hodowla tych gatunków ze względów klimatycznych niemoże mieć miejsca, jednakże wzorując się na obcych wzorach i doświadczeniach, można byłoby pomyśleć o selekcyjnej hodowli zwyczajnego lisa czerwonego, którego futro bywa nieraz bardzo ładne.

Józef Borowik.

O tresurze myśliwskiego sokoła*).

Złapanie sokoła nie należy do rzeczy łatwych. Jest to ptak dziki, bardzo ostrożny i trudno go nawet zastrzelić, a cóż dopiero dostać żywcem. Trudno w tym względzie dać radę pewną i niezawodnie dobrą. Chodzi przedewszystkiem o złapanie, — w jaki sposób, o to mniejsza.

Muszę jednak podać pewien system stosowany na Kaukazie, który cieszy się tam dużem powodzeniem.

Używa się do tego specjalnie tresowanego, drapieżnego ptaszka. Jest on mały i słaby fizycznie, nie żywi się mięsem zwierząt ani ptaków, lecz poluje zwykle na większe owady lub pisklęta. Upatruje swą zdobycz na polach w podobny sposób jak to czynią pustułki albo srokosze t. zn. wylatuje na pewną nieznaczną wysokość (od 1 — 2 metrów) po nad ziemią i machając szybko skrzydłami oraz sterując ogonem, zatrzymuje się w miejscu. Z tej wysokości obserwuje ziemię, a w chwilach zmęczenia siada na krzakach lub kopach zboża, których się zwykł trzymać. Podobnie zachowuje się nasz srokosz i może go w zupełności zastąpić.

Nie potrzebuję mówić, że złapanie takiego ptaszka nie należy do rzeczy zbyt trudnych. Kto mieszka na wsi, ten za parę groszy, danych chłopakom wiejskim, w parę dni będzie miał srokosza.

Tresura srokosza jest bardzo prosta i nietrudna. Do jednego z końców kijka długości jednego metra uwiązuje się sznurek tej samej długości. Drugi koniec sznurka uwiązuje się do łapki srokosza. Następnie trzymając odwrotny koniec kijka w ręku, puszcza się ptaszka wolno. Oczywiście będzie on uciekał, ale uleci tylko na tę wysokość, na jaką pozwala długość kijka i sznurka. Tymczasem treser, trzymając kijek w ręku, zaczyna nim szybko machać, wykonując ruch wahadłowy o niewielkim odchyleniu.

Zmęczony takiem lataniem srokosz po pewnym czasie będzie chciał odpocząć; nie mając zaś innego oparcia, zechce on usiąść na kijku, który treser powinien mu wówczas podstawić. Nie dając mu zbytnio wypoczywać, poczyna się znów machać kijkiem. Srokosz traci równowagę i nie mogąc się utrzymać w pozycji siedzącej, zacznie znów latać w miejscu tuż ponad kijkiem. Nastawiamy mu kijek i zmęczony srokosz siada natychmiast. Powtarzając ten manewr kilkakrotnie, po paru dniach nauczymy ptaszka, że będzie on latał przy każdym machaniu kijka i z chwilą zaprzestania tej funkcji odrazu na kijku usiądzie. Tresura już jest skończona.

Przystępujemy obecnie do łapania samego sokoła.

W tym celu trzeba upatrzyć miejsca, w których się ten ptak ukazuje i zrobić nań zasadzkę. W krzaku lub kopicy zboża zamaskowuje się człowiek, Naprzeciwko w odległości 2 — 3 metrów ustawia się pionowo siatkę z cienkiego i mocnego szpagatu (oczywiście nie kolorową), rozpiętą na ramie z cienkich, mocnych prętów, równie barwą zbliżonych do terenu, na jakim się znajdują. Między siatką a ukryciem człowieka umieszcza się na tym samym, co zwykle kijku tak samo uwiązanego srokosza, w ten sposób żeby człowiek, nie zdradzając swej obecności, mógł zmusić go do latania i do siadania na kijku swobodnie i bez zbytniego zmęczenia ręki.

Sokół, wyleciawszy na poszukiwanie zdobyczy' przypadkiem nadleci w miejsce naszego ukrycia. Robimy mu wówczas miłą niespodziankę. Zaczynamy machać kijkiem. Srokosz, chcąc nie chcąc, zmuszony jest do latania. Robi to wrażenie że pta-

*) Rozpoczynając propagandę mającą na celu wskrzeszenie w Polsce sokolnictwa podajemy ciekawy artykuł p. A. Siedleckiego o układaniu sokołów. Artykuł powyższy polecamy uwadze myśliwskiego ogółu. (*Redaktor*).

szek ten najoczywiściej lekceważy sobie obecność tak znakomitej figury, jaką jest sokół, i najbezczelniej łapie koniki polne, czy świerszcze. Łatwo zrozumieć, że „książe ptaków“ czuje się obrażonym, rzuca się na śmiałka i... ukryty w krzaku człowiek szarpie za podpórkę, utrzymującą siatkę, przykrywając nią srokosza i sokoła.

Z chwilą złapania zaczynamy właściwą tresurę sokoła. — Zaznaczam tu, że można łapać, jak się tylko podoba i w tym względzie nie może być żadnej ściśle określonej metody, a pomysłowość jest nawet rzeczą pożądaną i chwalebną. Ale to, co następuje od chwili złapania, jest obowiązkowe w tym systemie tresury, jaki tu mam zamiar podać, i nic w nim zmieniać nie radzę ze względu na następstwa. — Złapanemu sokołowi należy natychmiast na miejcu złapania omotać, lub lepiej zaszyć głowę w szmatę ciemnego koloru tak szczelnie, żeby ten nic zupełnie nie widział. Następnie udajemy się do domu. Tu czekamy głębokiej nocy. Zasłaniamy szczelnie okna w pokoju, w którym powinno być kilka osób, zapalona lampa i pies wyżeł. Do tak przygotowanego miejsca należy wnieść sokoła, związać mu skrzydła na plecach tak, żeby były w pozycji tej, w jakiej się znajdują podczas spoczynku ptaka. Uskutecznia się to przez związanie wolnym sznurkiem w t. zw. „łokciach“. Pęta się nogi tak, żeby sokół mógł chodzić, ale nie biegać, przywiązuje się do nóg i szyi małe dzwoneczki takie, jakie noszą wszelkie „Amorki“, „Bizutki“ i „Filusie“. I teraz dopiero można zdjąć zasłonę z oczu sokoła. Sadza się go na „berle“ (jest to przedmiot zrobiony z drzewa, a przypominający kształtem literę „T“. Zarówno górna poprzeczka, na której siada sokół, jak też trzon, za który się trzyma ręką, muszą być zrobione z walców mniej więcej średnicy 4 cm.).

Sokół zaciekawiony widokiem, którego nigdy przedtem nie widział, przygląda się uważnie ludziom i otoczeniu. A ponieważ od chwili złapania nie widział nic, tembardziej dziwi się widowisku, które go otacza. Ludzie i pies powinni być w nieustannym ruchu; przesuwać krzesła, brzęczeć talerzami, grać na jakimkolwiek instrumencie o ile jest, — słowem hałasować jak najwięcej.

Sokół początkowo będzie śledził uważnie wszystko, co się dzieje naokoło, ale po pewnym czasie, zmęczony widowiskiem, zaczyna drzemać. Wtedy sokolnik, trzymający berło, gwiżdże mu nad uchem. Sokół się budzi i znowu obserwuje otoczenie.

W ten sposób przepędza się o ile można całą noc.

Wszystko to robi się w tym celu, ażeby oszołomić sokoła jak najbardziej tak, by ten stracił pewność siebie, a uczuł się zależnym od człowieka.

Rano sadza się sokoła na berle tak samo ze związanemi skrzydłami i spętanemi nogami z tą różnicą, że się uwiązuje do jednej nogi długi, mocny sznurek. Trzeba w tym celu założyć „kajdanki“. Jest to skówka z cynkowej blachy, którą można wyciąć samemu nożycami. Pod tą skówkę wkłada się miękki mankiet z zamszowej skórki, żeby blacha nie starła sokołowi nogi. Skówki powinny mieć uszka, do których możnaby za pomocą drucików przymocować dzwoneczki oraz łańcuszek, który służy jako pęto.

Woła się wyżła i w jego towarzystwie wychodzi do ogrodu. Sokół będzie się bał psa. Obserwuje on każdy jego ruch i śledzi wszystko, co zaciekawiać będzie wyżła. Wyżeł jest niezbędny przy tej nauce, jako przyszły pomocnik w polowaniu z sokołem, do którego ten ostatni musi się przyzwyczaić. W ogrodzie zdejmuje się sokoła z berła, sadza się w odległości jednego metra na trawie i zatrzymuje się w ręku tylko sznurek. W obecności sokoła przesuwa się w czystej wodzie mięso (najlepiej wołowinę lub koninę, byle świeże), ucina się kawałek i pokazuje sokołowi. O ile ten nie patrzy w tę stronę, wtedy gwiżdże się na gwizdku w celu zwrócnia uwagi sokoła. Głodny sokół powinien przyjść do ręki i wziąć sam mięso przeznaczone na jego pożywienie. O ile nie przyjdzie, — nie dostanie. Dopiero po pewnym czasie — i to w sposób powyżej wskazany.

Następnego dnia odsadza się sokoła na większą odległość (2 m.) i powtarza się to samo. Codzień przestrzeń dzieląca sokolnika od sokoła, powinna się powiększać o jeden metr. Ale też z każdym dniem sokół coraz bardziej przyzwyczaja się do swego pana i coraz to chętniej na gwizdek przychodzi. Tego rodzaju tresura powinna trwać od 30 — 40 dni.

Kiedy sokół już jest zupełnie oswojony i przyzwyczaił się do wyżła, oraz całego swego rynsztunku (dzwonków i kajdanek), wtedy po raz pierwszy rozwiązuje się skrzydła ptaka. Jest to chwila bardzo ryzykowna i nie radzę zbyt się z nią spieszyć. Odwiązuje się sznurek od nogi i puszcza go całkiem wolno. Sokół poleci i usiądzie na pierwszem lepszem drzewie. Sokolnik gwiżdże, pokazuje kawałek mięsa i nadstawia berło. Sokół przyleci do ręki i usiądzie na berle. Odtąd powinno go się stale karmić na berle. O ile się go chce zatrzymać na miejscu, zakłada mu się kaptur. Jest to rodzaj hełmu wolnego zrobionego z niewyprawionej skóry. Jeżeli sokół na gwizdek przyleci, jest już oswojony i ułożony. Może jednak być tak, że ucieknie. Przewidzieć tego zgóry prawie nie można. Zupełnie już oswojony sokół uczuwszy, że ma wolne skrzydła, może zapragnąć dawnej swobody,—wtedy odleci bezpowrotnie.

Obecnie przystępujemy do zakończenia tresury — mianowicie do próbnego polowania. Trzeba postarać się o żywą przepiórkę, lepiej o kilka i uwiązawszy je na sznurkach puścić w ogrodzie. Następnie z sokołem na berle i z wyżłem wychodzi się do ogrodu. Każe się psu szukać. Sokół ciekawie śledzi ruchy wyżła, a gdy pies stanie, sokolnik podchodzi i komenderuje „pyf!“ Przepiórka porywa się, sokół odruchowo rzuca się i oczywiście łapie, padą w trawę i tu, szarpiąc przepiórkę dzwoni dzwoneczkami uwiązanemi u szyi i łap. Należy natychmiast odebrać zwierzynę sokołowi (w przeciwnym razie zje ją), ostrym nożem rozciąć głowę przepiórki i wydobywszy mózg oddać go w nagrodę zdobywcy. Od tej chwili sokół staje się niewolnikiem dobrowolnym i już nie ucieknie. Mózg jest przysmakiem dla sokoła, a sam wydobywa go z trudem, nie mogąc dokładnie rozdziobać czaszki. Tak jak skoki zajęcze należą się ogarom w nagrodę za wytropioną zwierzynę, tak mózg każdego złapanego ptaka należy oddać sokołowi.

Z chwilą kiedy kończymy polowanie i nie chcemy, żeby sokół rzucał się na przelatujące ptaki, zakładamy mu kaptur. W kapturze widzi on o tyle,

że można go w nim karmić, nie ośmiela się jednak lecieć, czując się skrępowanym.

Na Kaukazie ceni się takiego sokoła wysoko. Można wymienić go za dobrego konia wierzchowego, lub wyżła dobrej rasy i tresury. Przytem polowanie takie jest bardzo efektowne, malownicze i *urozmaicone*.

Nie jest mi znany sposób układania sokoła w dawnej Polsce [1]). Prawdopodobnie różnił się on nieco,—sądząc jednak z obrazów, przedstawiających podobne sceny, musiał być bardzo zbliżony.

Między innemi był zwyczaj noszenia sokoła na berle.

Czerkiesi i Turcy trzymają sokoły wprost na lewej ręce, sadzając je na dużym palcu. Ale uprzedzam — sokół ma nadzwyczaj ostre pazury i trzeba bardzo grubej skórzanej rękawicy, żeby zabezpieczyła rękę od skaleczenia. Pozatem i samemu ptakowi wygodniej jest na berle, gdyż duży palec zwykle bywa za cienki i palce sokoła obejmując go schodzą się i ranią wzajemnie. Prócz tego jest to więcej męczące i krępujące sokolnika, ponieważ berło z łatwością przekłada się z ręki do ręki, nie naruszając samego ptaka, tymczasem przesadzanie go z palca na palec jest nieraz niewygodne.

Sokół z czasem przyzwyczaja się do berła, uważa je za swoje miejsce spoczynku i chętnie na niem przesiaduje bez względu na to, kto je trzyma. Gdy tymczasem sadzanie na palcu przyzwyczaja sokoła do sokolnika, którego sokół i tak jedynie uznaje za swego zwierzchnika, innych ludzi zupełnie lekceważąc. Jak dalece sokół pogardza wszelkimi obcymi przekonałem się kiedyś na własnej skórze.

Było to na Ukrainie. Kuzyn mój układał sokolicę bardzo piękną i dużej siły. Wiele o niej słyszałem legend. Zaciekawiony, przyjechałem obejrzeć owe cudo. Pamiętam, siedziała na słupie, sięgającym mi do piersi. Nieopatrznie podszedłem zbyt blisko i z odległości jednego kroku obserwowałem ptaka. Sokolica nie lubiła natrętów. Długą chwilę patrzyła mi w oczy, mrugając swemi przeświecającemi powiekami, później nadzwyczaj szybko, a trzeba przyznać, że miała ruchy błyskawiczne, skoczyła mi do oczu i podrapała po twarzy. Długo musiałem przykładać kompresy z kolońskiej wody, nim minęło mi spuchnięcie podrapanej wargi, a długa czerwona, od oka aż do brody idąca kresa zdobiła mi policzek przeszło tydzień.

Kuzyn mój próbował wpoić w sokoły zasady dobrego wychowania: chciał odzwyczaić je od szarpania mięsa. Na wychowanie brał więc sokolęta zupełnie małe najwyżej dwutygodniowe i karmił je od początku mięsem drobno siekanem tak, żeby pupile jego nie potrzebowały używać pazurów. Lecz wysiłki jego nie zostały uwieńczone powodzeniem,—sokoły doszedłszy do dojrzałości, psuły tak samo zwierzynę, jak i sokoły źle wychowane. Natomiast czas tresury był znacznie dłuższy, niż sokoła dorosłego, sprawność zaś myśliwska wiele pozostawiała do życzenia. Wprawdzie były one bardzo dobrze obznajmione ze swem cywilizowanem stanowiskiem, ale w pierwszym roku swego życia nie rzucały się na ptactwo lecące,—brakło im jeszcze mocy w skrzydłach. Znakomicie zato brały wszelką zwierzynę lekko postrzeloną i dostarczaną do próbnych polowań. Odrazu po zdjęciu kaptura rzucały się nieraz na bardzo poważnego przeciwnika: bąka, kruka, a nawet czaplę. Do berła i sokolnika były tak przyzwyczajone, że na gwizdek niejednokrotnie porzucały nawet zabitą zwierzynę i wracały do ręki. Prawdopodobnie byłyby one idealne, ale dopiero w drugim „polu". Jednak nie było nam sądzone doczekać się rozkwitu ich zdolności: bolszewicy rozpędzili i nas i sokoły...

A. Siedlecki.

Wspomnienia z tajgi.

Za przykładem lat ubiegłych i tej zimy 1889 r. miałem zamówionych kilka niedźwiedzich barłogów w tajdze Wołogodzkiej i z niecierpliwością wyczekiwałem nadejścia stosownej pory, by w daleką wyruszyć podróż. Gdy więc tylko zawitały mrozy i ziemię skuły w twardą powłokę, a obfite opady śnieżne pokryły ją grubym białym całunem, zadepeszowałem do mych kolegów, naznaczając im punkt zborny w Wołogdzie, skąd już dalszą drogę wspólnie na saniach odbyć mieliśmy. Jak jeden mąż stawiliśmy się w oznaczonym czasie i miejscu najpunktualniej i bez straty jednej chwili jeszcze w tym samym dniu wyruszyliśmy na „pierekładnych" szerokim traktem do Totmy, powiatowej mieściny, leżącej na rubieży tajgi, a od gubernjalnej Wołogdy o dwieście wiorst oddalonej, skąd do tajgi już tylko 40 wiorst nam drogi pozostawało. Niech łaskawy czytelnik jednak nie będzie w błędzie, mniemając, iż przejazd tej przestrzeni na saniach, przy trzydziestu kilku stopniach mrozu, choćby nawet przy bezwietrznej, spokojnej i cichej pogodzie, jaka zwykle w tych krajach w czasie zimy panuje, był zupełnie wygodny lub z przyjemnościami połączony, jak np. podróż w ciepłym wagonie eleganckiego expresu Warszawsko-Wiedeńskiego, gdzie w miłem otoczeniu ślicznie umalowanych i uperfumowanych towarzyszek podróży zabawić się można lekkim flircikiem, zapuścić nieznacznie żórawia w zbyt śmiało wycięty dekolt głęboki lub nieostrożnie długim nosem lakiera przydepnąć zgrabną nóżię sąsiadki... Nie, szanowny czytelniku!

Szalona jazda trzydziestogodzinna w trójkę w „dartego orła" rączych stepowych biegunów w niekute, lekkie sanie wprzężonych, ciągłe ich zątaczanie się na śliskiej i gładkiej jak lustro, białej po-

---

[1]) W jednym z najbliższych numerów sposoby te omówimy. (*Réd.*).

wierzchni śnieżnej lub rytmiczne kołysanie się na strasznych wybojach ruchliwego szlaku nienawykłego do podobnej lokomocji podróżnego przyprawia o morską chorobę z jej przykremi skutkami. To też już na dwudziestej wiorście mój sąsiad dostał gwałtownego zawrotu głowy, jęczał, stękał i coraz częściej przewieszał głowę za wasążek sani. Prawdziwem dobrodziejstwem dla podróżnego są też częste pocztowe stacje o 25 do 30 wiorst od siebie rozrzucone na całym trakcie, a choć nie z komfortem, lecz zupełnie wygodnie urządzone, odpowiadają wymaganiom podróżującego. W obszernej, ciepłej izbie może on wyprostować strudzone podróżą członki, w czasie przemiany krwi i dać woźnicy spocząć pół lub nawet godzinę, a na stale znajdzie zawsze i o każdej porze dnia lub nocy pękaty świecący, śpiewający wesoło samowar i za marne kilkanaście kopiejek ciepłą i smaczną strawę. Po takim wypoczynku na stacji Nr. 5 pomknęliśmy z chyżością strzały w dalszą drogę. Otulony w ciepłą „dachę“ i miękkie kożuchy, leżąc na dnie głębokich sani, ani dbać chciałem o mróz, ni o gromadzące się na szarym firmamencie ołowiane chmury, ni o czarną noc nadchodzącą, nawet nie wzruszają mnie stęki i jęki M., jak się okazuje kiepskiego marynarza. Tęskny i monotonny dźwięk uwieszonego u dugi „kołokolczyka“, miarowe ruchy sań prędko skłoniły mnie do miłej drzemki — zasnąłem najspokojniej. Budziło mnie częste pokrzykiwanie jamszczyka „bieregiś“ i nagłe jego wstrzymywanie trójki w pełnym biegu. Częste wymijanie długich szeregów jednokonnych sanek, jadących do miasta, z drzewem lub z towarami o parę godzin opóźnia nasze przybycie do Totmy.

Z brzaskiem dnia na dalekim szarofjoletowym horyzoncie niewyraźnie zarysowały się cerkiewne kopuły i wysoka wieżyca „kałanczy“. Leniwo wyłaziły z pod białych śniegów coraz wyraźniej pojedyńcze domostwa, całe ich grupy, wreszcie już wyraźnie długie ich rzędy i szerokie ulice. O godz. 11-ej wjechaliśmy do tego miasta o charakterze czysto azjatyckim. W jednym z licznych „postojałych dworów“ znaleźliśmy wygodne locum. W obszernej sali samogrający organ grał „Wołga, Wołga mat’ radnaja“, a kilku opartych kacapów przytupywaniem i piskliwymi głosy dodawało taktu melodyjnej pieśni. Pokaźna, rumiana Lubow Iwanowna, właścicielka hotelu, ugościła nas „riabinowkoj“, ruskimi „szczi“ z tradycyjnym pierogiem i całym tuzinem szklanek aromatycznego „czaju“. Odurzające ciepło i „riabinówka“, a więcej zapewne uprzejmość i wabiący uśmiech dołeczków na rumianej buzi ponętnej Lubwi rozmarzyły naszą kompanję i niejeden z nas chętniej wolałby pozostać tu dłużej, niż mordować się w saniach jeszcze całą dobę, lecz myśliwska namiętność umie zwalczyć największe życia pokusy i prawdziwy myśliwy, za skórę niedźwiedzia w barłogu jeszcze śpiącego, odda wszystkie piękne „Lubwi“ bez wahania i namysłu. Więc też choć nie bez pewnego żalu, żegnamy piękną rosjankę i siadamy do oczekujących nas sań.

Gdy w Rosji ktoś zapyta o odległość z X do Z, a odpowiedzą mu 15 wiorst, może śmiało przejechać 20 i jeszcze u celu nie będzie. Doświadczyliśmy tego na własnej naszej skórze. Jak wspomniałem wyżej z Totmy do tajgi mieliśmy 40 wiorst drogi, na przebycie czego najwyżej 5 godzin potrzebowaliśmy.

Po całonocnej jeździe i kręceniu się po tajdze zaledwie o wschodzie słońca stanęliśmy we wsi Biełoje i w leśniczówce po za nią o 1 w. leżącej, znaleźliśmy w obszernej chacie „pobereżnika“ dogodne pomieszczenie. Jeszcze tegoż dnia odwiedziliśmy inspektora lasów p. P., z opowiadań którego zaczerpnąłem wiele cennych dla mnie wskazówek i dla naszych łowów. Od dawna miałem zasadę dozwalania tropicielom użycia w mych polowaniach wyłącznie rohatyny i topora, uważając ich ogniopały za broń mało użyteczną, a więcej szkodliwą i niebezpieczną dla innych uczestników polowania. Sam zaś nigdy nie miałem zwyczaju stawać w bezpośredniej bliskości legowiska zwierza, który swój barłóg obiera w tak zwartej i głębokiej gęstwinie, iż trudno znaleść nieraz kilka arszynów wolnego do strzału miejsca i bardzo często się zdarza, że misio niewidzialnie wymknie się myśliwemu. Niekiedy tropiciel nie umie znów ściśle oznaczyć kierunku śpiącego zwierza. I w jednym i w drugim wypadku obierałem cokolwiek dalsze od barłogu stanowisko z szerszym widnokręgiem: dawało mi to niemal zawsze pożądane rezultaty. Przy uczestniczeniu w łowach większej ilości myśliwych, pierwszy myśliwy winien stać najbliżej barłogu, inni zająć miejsca po jego boku w dalszej odległości i z większym widnokręgiem, by przegapionego lub ranionego zwierza łatwo było widzieć i skutecznym strzałem nie dać mu ujść dalej. Gdy nad wieczorem dnia tego zjawili się w naszej chacie tropiciciele, właściciele zamówionych barłogów, po krótkiej z nimi naradzie wojennej, o świcie dnia następnego byliśmy już w głębokiej tajdze, w drodze do pierwszego misia o 10 wiorst od Biełoj śpiącego. O ile mróz dokuczał nam srogo w wolnej jeździe na małych saneczkach, o tyle męczyło nas i rozgrzewało brodzenie w sięgającym po kolana śniegu. Idący przodem stary Archip przynaglał nas do pośpiechu, a my coraz mniejsze dajemy kroki i wolniej się posuwamy naprzód.

Około jedenastej stary brodacz wskazał nam wielką kępę zarośniętą obwisłemi świerkami i po wierzchołki zasypaną śniegiem, co bardzo do wielkiego białego namiotu było podobne. Tam więc śpi długim snem letargicznym mocarz i król tej puszczy bezbrzeżnej. Pierwszy ten barłóg należy do M. i on zajmuje pierwsze przy nim miejsce, S. i ja opodal, na więcej odkrytych stajemy placówkach. Uroczysta strasznie chwila, napięcie nerwów wielkie, emocja silna. A jeśli to ostatnie w mem życiu polowanie?! Tropiciele okrążają krzewy i spuszczają z uwięzi kundysy. Psia wrzawa rozdarła ciszę lasów zwierz nie rychło odpowiedział złowieszczym pomrukiem. Psy natarły ostrzej, tropiciele gromkim wrzaskiem do zaciętszej je zachęcali walki, zbudzony zwierz ryknął przeraźliwie, aż bór się wstrząsnął i z trzaskiem łamanych zmarzłych gałęzi, w pyle śnieżnego tumanu wyskoczył z ciepłego legowiska. Dwa suche szybko po sobie padły wystrzały, krótki ryk zwierza, kilka jeszcze szczeknięć sobaczych i chwilowa cisza. „Bariń mołodczina, hurra“ wrzasnęli brodacze wesoło. Stara, bura, wielka niedźwiedzica leżała u nóg rozradowanego jej widokiem M.

Dzień wypoczynku i na drugiego misia jedziemy. Droga daleka i uciążliwa i jeżeli pochód na pierwszego był ciężki, ten był wprost wyczerpującym.

Zdawało się niekiedy, że nam sił zabraknie i wyrzec się trzeba będzie zdobyczy. Zaledwie o 2-giej w południe stanęliśmy na wzgórzu niewielkiem przed kupą splątanych ze sobą niskopiennych sosen i świerków, śniegiem przygniecionych do ziemi, gdzie wzrok nic rozpoznać w nich nie mógł. Stary Foka ze swym synem Wołod'kom nie umieli ściśle nam wskazać położenia barłogu, obranie stanowisk stało się wobec tego dość trudnem. S., na którego padł los, zajął pozycję tuż przy gęstwinie, jak należało się spodziewać naprzeciw barłogu, ja z M. po dwóch jego stronach na więcej otwartej polanie z widokiem na kępę. Zaledwie pierwszy kundys warknął, gdy w krzakach podniósł się śnieżny tuman i otoczony psami niedźwiedź wypadł na stanowisko S. Huknął strzał, lecz psia wrzawa z rykiem rozjuszonej bestji oznajmiła nam, że zwierz chybiony lub lekko raniony uchodzi w dal. Stałem o 50 kroków od niego, gdy wyskoczył z zarośli i przebiegł przez polanę. Dałem dwa strzały, po których przysiadł, zerwał się, lecz brakło mu sił do walki z psami, które dokończyły jego żywota. S. chybił go pierwszym strzałem, a gdy chciał poprawić, zbity z nóg przez psy padł w śnieg, a gdy się zerwał — niedźwiedzia już nie było. Mój miś okazał się jednym z roślejszych i wspaniałym okryty futrem, jakiego w tej tajdze Bielskiej zabito w tym sezonie zimowym. Mamy jeszcze jeden z zamówionych barłogów. Oddaje mój strzał niefortunnemu S., by raz jeszcze spróbował szczęścia. Niestety i tym razem „spaskudził" i radziłem mu udać się do Totmy, poprosić ładnej Luby o pokazanie miękkiego zapewne kolanka, nie usłuchał, czego pewno długo żałował, bo widok, a dopuść bogi, dotknięcie tej cząstki kobiecego ciała, przynosi niechybne myśliwemu szczęście, co z własnego doświadczenia potwierdzić mogę.

Strzelec, gdy nie jest, jak mówią „w sztosie" i pudłuje jak żak, niech porzuci pole, wraca do domu, a o świtaniu ciepłe, atłasowe zobaczy kolanko, może być pewny cały dzień swych strzałów. Ale wracam do tajgi, skąd na chwilę oderwały mnie młodzieńcze wspomnienia.

Ostatni barłóg leżał o jakie trzy mile od Biełoje, wyjechaliśmy więc zaraz po pierwszym pianiu koguta za piecem naszej izby rezydującego. Droga, a raczej bezdroże wiodło przez równinę, potem przez jakieś wądoły, pagórki, co chwila zmienialiśmy kierunek, aż około 9 ej rano zostawiamy sanie i za naszym przewodnikiem Nikołą, olbrzymem o byczym karku i barkach idziemy w coraz większą gęstwinę kolosalnego drzewostanu, gdzie niekiedy zaledwie promień bladego słońca przedrzeć się może do wnętrza i na minutę rozweselić ciemność leśną, wszechwładnie tu panującą. Trudne to jednak dla nas zadanie podążyć za chłopem, robiącym dwu arszynowe kroki bez najmniejszego wysiłku, więc też co chwila przystajemy, na co nasz Nikoła zżyma się, gderze i pewnym krokiem idzie do celu, nie błądzi, nie szuka drogi, spojrzy tylko po drzewach, wstrząśnie kudłatą głową, pogładzi swą lnianą bródkę, splunie po za siebie i dąży dalej. Zna on widać tajgę jak swą wieś rodzinną!

Skinieniem niedźwiedziej swej łapy wskazuje nam wielki wykrot olbrzymiego drzewa, a w jego bliskości nagromadzone kupy gałęzi chaotycznie na siebie nawalone i śniegiem zasypane. Tam leży spokojnie, nie przeczuwając swego nieszczęścia, bury mocarz leśny, „preogromnaja sztuka", jak twierdzi Nikoła. Dziś polujemy z naganką. Około setki chłopów, bab i wyrostków z widłami, pikami, rohatyną lub toporami... Rozstawieni od legowiska na 100—150 kroków, oczekują pojawienia się zwierza, by go krzykiem i wrzaskiem zawrócić na strzelców. My rozstawiliśmy się w równej linji, przyczem S. znów środkowe zajmuje miejsce w krzewinie. Stary, śmiały misio leniwo wylazł ze swego gniazda i jakby nie zważając na psie ujadanie i zaczepki, broniąc się takiem pomrukiem, jakby od niechcenia ruszył przed siebie, a ujrzawszy nas stojących zatrzymał się na mgnienie oka, jakby myślał na kogo uderzyć, lecz zanim zdążył podnieść się na łapy, strzeliliśmy.

S. równocześnie zemną. Zwierz ryknął strasznie, skoczył wysoko i padł na wznak martwy. Moja kula przeszyła mu czerep. S. poraz drugi spudłował drasnąwszy go zaledwie po udzie.

Dziś odjeżdża skonfundowany S. do Totmy. Szczęśliwej życzę mu drogi i lepszego tam powodzenia niż w tajdze, sam pozostaję zaproszony przez p. P. na wilki. Nie był to jednakże czas odpowiedni i przestrzenie zbyt rozległe, byśmy liczyli na obfitą zdobycz; przewidywania nasze okazały się trafnemi. W dwudniowych łowach zaledwie p. P. zabił jednego wilka, ja sromotnie innego chybiłem i na tem zakończyliśmy nasze polowanie. W powrotnej drodze zastaliśmy naszego niefortunnego nemroda w Totmie, był tak wsłuchany w grające skocznego „kozaczka" instrumentum i w hożą gosposię, iż nie zauważył nawet naszego wejścia na salę. Był to chłop pechowy i zdaje się i tu spudłował.

Wł. Czerniejewski.

Po zawodach strzeleckich na VIII Olimpjadzie.

Polska drużyna strzelecka wyjechała w bardzo trudnych warunkach na VIII Olimpjadę. W ostatniej prawie chwili zdecydowano się wysłać naszą reprezentację. Zorganizowano I-sze Narodowe Zawody Strzeleckie we Lwowie, wybrano strzelców, przeprowadzono z nimi kilkodniowy trening i po tych „przygotowaniach", z bronią mało dokładną (typu wojskowego), nasza drużyna strzelecka przyjechała na Olimpjadę... zapóźno.

W innych państwach, to co u nas robiło się w ciągu tygodni, a nawet w ciągu dni, przeprowadzało się systematycznie przez szereg lat.

Los w ten sposób wysłanego przedstawicielstwa zgóry był przesądzony. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, że strzelcy nasi będą daleko na szarym końcu. Lecz nie po laury wysłaliśmy naszych zawodników na Olimpjadę. Jechali oni przedewszystkiem po to, by zaznaczyć, że Polska interesuje się

tą gałęzią sportu, a co najważniejsze, by dokładnie zapoznać się z warunkami podobnych zawodów i zdobyć doświadczenie.

Zawody odbyły się. Strzelcy nasi wypełnili pierwszą część swego zadania, to jest zadokumentowali udział Polski i... zajęli ostatnie miejsca w wyniku. Nie wiemy tylko nic jak wywiązali się z głównego swego zadania, to jest czy i w jakim stopniu zdobyli doświadczenie.

Sprawozdania z Reims podają nam tylko wyniki strzelań z ilością punktów zdobytych przez poszczególne narody i strzelców, nie podają zaś szczegółów, o które nam tak chodziło.

Strzelcy nasi pojechali na Olimpjadę jako przedstawiciele Polski na koszt Skarbu (M. S. Wojsk.), niewolno im więc zdobytego tak drogo doświadczenia chować tylko dla siebie, lecz możliwie jaknajprędzej podzielić się tem z ogółem myśliwych i strzelców, by dać im możność wcześnie rozpocząć systematyczne przygotowania.

W tym celu należałoby, za pośrednictwem pism sportowych i myśliwskich, a może nawet lepiej przez wydanie odpowiedniej broszurki, podać do wiadomości ogółu polskich strzelców i myśliwych, dokładne i wyczerpujące sprawozdanie ze strzelania w Reims.

Dobrzeby było, gdyby który z zawodników lub sprawozdawców prasowych, podjął się powyższego zadania i przy współudziale wszystkich strzelców, którzy brali udział w VIII Olimpjadzie, opracował powyższe sprawozdanie. Gdyby nikt nie zechciał podjąć się powyższej pracy, to w takim razie obowiązek powyższy spada na przewodniczącego naszej reprezentacji strzeleckiej w Reims.

W każdym razie, ze względu na poniesione już koszty, zadanie to do końca wypełnić trzeba, by na przyszłe międzynarodowe zawody strzeleckie nie jechać znów „tylko po doświadczenie“.

Mojem zdaniem sprawozdanie takie powinno zawierać:

1) szczegółowe warunki wszystkich punktów zawodów (odległość, pozycja, ilość strzałów, czas strzelania, rodzaj i wymiary tarczy, warunki dotyczące broni i amunicji i t. p.);

2) szczegółowe uwagi i spostrzeżenia dotyczące broni i amunicji, używanej przez poszczególnych strzelców (przynajmniej czołowych);

3) zauważone u zawodników braki, ze szczególnem uwzględnieniem własnych.

Na podstawie takich informacyj, strzelcy polscy mogliby niezwłocznie rozpocząć przygotowania, wówczas IX Olimpjada nie będzie dla nas niespodzianką, o której dowiadujemy się w ostatniej chwili i po 10-dniowym treningu decydujemy się wziąć w niej udział, bez najmniejszych widoków zwycięstwa.

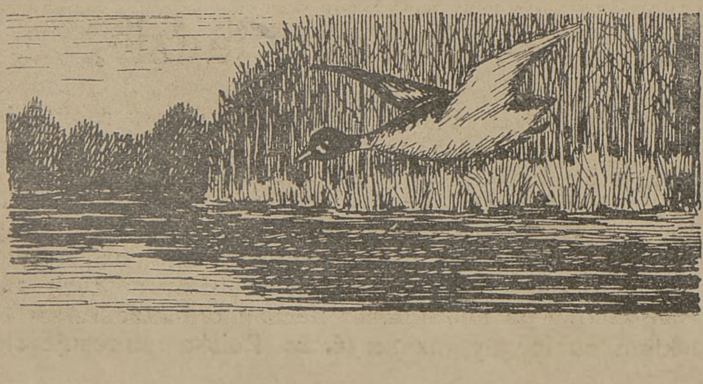
Stałą kontrolę nad przygotowaniami naszych strzelców powinny roztaczać: wojskowość (wszystkie dowództwa od dowództwa pułku wzwyż) oraz stowarzyszenia strzeleckie i myśliwskie, które przez urządzanie możliwie jaknajczęściej zawodów będą miały dokładny obraz stanu naszego strzelectwa i w ten sposób będą pobudzać zawodników do ciągłego doskonalenia się w tym kierunku.

Polska posiada wybitnych strzelców, którzy po odpowiedniem przygotowaniu nie zawahają się Jej reprezentować na najbliższych międzynarodowych zawodach i napewno wywiążą się godnie ze swego zadania, a może nawet uda im się wyciągnąć polską chorągiew na maszt olimpijski.

Stefan Bukowski.

Z ruchu wydawniczego.

„Pieśń puszczy“ Wł. Korsaka (powieść myśliwska z rysunkami autora, nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i S-ka. Warszawa, N.-Świat 21.





W najbliższym czasie (około 15 listopada) ukaże się w druku przepiękna opowieść myśliwska Korsaka: „Pieśń puszczy“. W literaturze naszej łowieckiej dzieło to zajmie niewątpliwie wybitne miejsce. Czar puszczy, urok łowów, dech dzikiej dziewiczej przyrody przepełniają każdą stronę tej przecudnej historji o myśliwskiej duszy..

Z prawodawstwa myśliwskiego.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 4 sierpnia 1924 r.,

wydane w porozumieniu z Ministrem Skarbu i Ministrem Rolnictwa i Dóbr Państwowych w sprawie określenia wysokości najwyższych norm podatku od wykonywania prawa polowania.

Na podstawie ustępu 2 art. 19 ustawy z dnia 11 sierpnia 1923 r. o tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych (Dz. U. R. P. Nr. 94, poz. 747), zarządza się, co następuje:

§ 1. Oznaczoną w § 13 rozporządzenia II Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 18 marca 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr. 31, poz. 317), maksymalną wysokość norm podatku od wykonywania prawa polowania obniża się poza obszarem gmin miejskich:

w I strefie do 20 gr. z 1 ha;
w II strefie do 10 gr. z 1 ha;
w III strefie do 5 gr. z 1 ha;
w IV strefie do $^{1}/_{8}$ gr. z 1 ha;

§ 2. Podatki od wykonywania prawa polowania, wymierzone przed dniem wejścia w życie niniejszego rozporządzenia na podstawie rozporządzenia II Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 18 marca r. b., nie podlegają zwrotowi, ani też zaliczeniu na poczet innych podatków.

§ 3. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem pgłoszenia.

Minister Spraw Wewnętrznych:
(—) *Z. Hübner.*

Minister Skarbu:
(—) *W. Grabski.*

Kierownik Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych:
(—) *Raczyński.*

(Dz. U. R. P. Nr. 78 z dnia 4 września 1924 r., poz. 759).

ODEŻWA

w sprawie zwołania IV Ogólnego Zjazdu Leśników polskich.

Największe po rolnictwie bogactwo narodowe Polski — lasy, które tak okrutnie podczas wojny zostały niszczone i rabowane, a po jej ukończeniu poniosły ogromne ofiary na rzecz odbudowy państwa, dotąd nietylko nie są w pełni odbudowane — jak to się już stało z rolnictwem — ale w dalszym ciągu niszczone i zaniedbywane. W czasie wojny i w pierwszych latach po jej ukończeniu było to w znacznej części konieczne: Państwo i społeczeństwo nie mogło troszczyć się w pełni o lasy, mając pilniejsze potrzeby do zaspokojenia. Ale wreszcie nadchodzą czasy spokojnej, ciągłej, twórczej pracy, która przewidywać musi nie na dzień jeden, miesiąc czy rok, lecz na dziesięciolecia i wieki. Tego patrzenia na daleką metę domaga się las. Wszak życie jednego jego pokolenia, to życie w przecięciu trzech pokoleń ludzkich. By to życie lasu było natężone, trzeba nie niszczyć go, lecz wzmagać. Czas najwyższy pomyśleć już o pełnej odbudowie lasu. I wreszcie świadomość zła w leśnictwie staje się coraz powszedniejsza. Niestety, Społeczeństwo, Sejm, Rząd nie zdają sobie dotąd w pełni sprawy w czem leży zło i kto może i ma je naprawić. Zamierzona i postanowiona świeżo reorganizacja lasów państwowych jako przedsiębiorstwa nie osiągnie tego celu, gdyż nie jest opartą na zasadach wiedzy leśniczej i potrzebach lasu: las to nietylko objekt eksploatacji, a co gorsza spekulacji, lecz długoletniej hodowli i troskliwej pieczy.

Zjazd delegatów Związku Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej, odbyty w dniu 29 czerwca b. r., zaniepokojony w najwyższym stopniu zamierzoną reformą organizacji i administracji lasów państwowych, ogólnem pustoszeniem lasów polskich, oraz szerzoną krzywdzącą opinją o leśnikach, uogólniającą spotykane nadużycia czy nieudolność, które z całą bezwzględnością winny być karane — postanowił zwołać do Warszawy Ogólny Zjazd leśników z całej Polski celem naradzenia się nad potrzebami lasów i leśnictwa w Polsce, wskazania środków zwalczania zła, jakie do nich wtargnęło, Społeczeństwu, Czynnikom prawodawczym i Rządowi, słowem w celu wykreślenia linji rozumnej i twórczej polityki gospodarczo-leśnej, oraz celem skonsolidowania leśników i powzięcia uchwał, tyczących wspólnego ich działania.

Zorganizowanie Zjazdu powierzone zostało Głównemu Zarządowi Związku Leśników, wobec czego zwracamy się do ogółu leśników o jaknajrychlejsze zgłaszanie referatów oraz pisemnych wniosków na Zjazd, które przez komitet zostaną rozpatrzone i uzgodnione. Komitet organizacyjny Zjazdu po przeprowadzeniu prac przygotowawczych i ustaleniu programu, ogłosi termin Zjazdu.

Leśnicy chcący wziąć udział w Zjeździe winni podać swe nazwisko, zajmowane stanowisko i adres, oraz przesłać do Zarządu Związku 10 zł. na koszty urządzenia Zjazdu.

Korespondencje i pieniądze należy przesyłać pod adresem Związku Leśników, Warszawa, Foksal 14.

Z całego świata.

Bobry we Francji.

Marcowy zeszyt miesięcznika „Le Chasseur Français“ podaje nam niezwykle ciekawe dane o bobrach w południowej Francji.

Zdaniem p. E. P. nauczyciela z Naracelles (Gard) znaczna ilość bobrów przebywa jeszcze w miejscu połączenia się Gardon d'Alais i Gardon d' Anduze.

P. G. Seelle, który niedawno zabił bobra, opisuje nam żeremia bobrowe na Rodanie. Dodaje przytem, że bobra zabił do kolekcji, przeciwdziałał jednak zawsze tępieniu bobrów i przyczynił się do zniesienia nagrody jaką do niedawna wypłacał za zabicie bobra Syndykat rzeczny Rodanu.

Widzimy z tego że do niedawna istniała nagroda we Francji za tępienie bobra. Co kraj, to obyczaj.

Kryzys myślistwa na Zachodzie.

Omawiając smutne stosunki myśliwskie w Niemczech E. J. Faber zastanawia się w „Wild und Hund“ nad środkami zaradczemi. Pierwszym z nich jest konieczność, ażeby nadleśniczy byli jednocześnie myśliwymi — hodowcami. Chodzi tu o ratunek zwierzostanu, który stanowi ważną gałęź bogactwa narodowego. Autor dowodzi, że jedynie powyższy sposób uratował łowiectwo niemieckie po wydarzeniach 1848 r.

Drugim środkiem zaradczym jest stowarzyszanie się myśliwych, celem wydzierżawiania większych terenów. Rozdrobnienie polowań jest głównym źródłem wyniszczania zwierzyny.

W dalszym ciągu E. J. Faber ubolewa nad niezgodą niemieckich krajów i kraików z których każdy pragnie utrzymać odrębne prawodawstwo myśliwskie. Brak zgody nazywa przytem autor wadą rdzennie niemiecką. Pragnieniem szerokich sfer myśliwskich w Niemczech jest stworzenie ogólnokrajowej ustawy łowieckiej dla całego państwa.

Zmiany francuskiej ustawy łowieckiej.

Przepisy myśliwskie z 3 maja 1844 r. zostały częściowo zmienione zarządzeniem z 3 Maja 1924 r. („Journal Officiel“).

Każdy obywatel może odtąd polować w posiadłości swojej bez specjalnej karty myśliwskiej, o ile posiadłość ta odgrodzoną jest od innych terenów łowieckich.

Prefekci oznaczą zapomocą publicznych rozporządzeń dzień i godzinę otwarcia i zamknięcia polowania w każdym departamencie (przynajmniej na 10 dni z góry).

Polować wolno dniem z bronią palną, konno, lub z naganką. Polowanie z samochodu i samolotu jest surowo wzbronione.

Prefekt departamentu może zawiesić prawo polowania w czasie wielkich śnieżyc.

Polujący bez pozwolenia lub też na cudzym terenie podlegają karze 50—200 franków. Karze 100 do 500 franków podlegają polujący w czasie ochronnym, polujący nocą, polujący przy pomocy niedozwolonego sprzętu łowieckiego, polujący z wabikiem i t. d. Kara najwyższa — stosowaną jest jeżeli winny należy do służby leśnej państwowej lub prywatnej.

Sieci, sidła i inny sprzęt łowiecki jak również samolot czy samochód, którym przybyli winni ulega konfiskacie. Broń palna zostaje również skonfiskowana o ile winny poluje w czasie ochronnym i nie posiada pozwolenia na prawo polowania.

Polujący bez pozwolenia płaci karę równą opłacie za prawo polowania.

Rozmaitości.

Ochrona zabytków przyrody.

Idąc za przykładem innych państw, tworzących wielkie rezerwaty dla ochrony tępionych coraz bardziej zwierząt dzikich i świata roślinnego, rząd belgijski postanowił utworzyć w północno-wschodnim kącie państwa Kongo, pomiędzy jeziorem Kiwu a granicami Ugandy, w t. zw. „Krainie gorylów“, obszerny rezerwat dla ustrzeżenia od zupełnej zagłady tych olbrzymich małp, jak również innych zwierząt dzikich.

Rezerwat ten obejmuje trzy wulkany: Mikeno, Karissimbu (13,500 stóp wys.) i Vissokie, obszar zaś jego wynosi 250 mil (ang.) kwadratowych terenu o klimacie różnorodnym, od ciepłego począwszy, a skończywszy na chłodnym klimacie górskim. Tu goryl żyć będzie otoczony opieką, wstęp bowiem na to terytorjum wzbroniony będzie zupełnie myśliwym.

Nie tylko wszakże dla gorylów zakątek ten będzie rajem, gdyż wszelkie także inne zwierzęta tych okolic, a nawet świat roślinny, będą nienaruszalne dla chciwego ciągłych podbojów przyrody człowieka.

Inicjatywę do utworzenia tego rezerwatu dał podróżnik i myśliwy amerykański, Karol Akeley, który zwiedziwszy te okolice i przekonawszy się naocznie, jak rzadkie stały się tam już goryle, poddał rządowi belgijskiemu myśl utworzenia rezerwatu.

Nowy ten zakątek ochrony zabytków przyrody otrzymał nazwę „Parc National Albert“, na cześć króla Belgów, który gorąco wziął do serca sprawę tego parku.

Walka słonia ze szczurem.

H. Riello opisuje w miesięczniku „Le Chasseur Français“ ciekawą walkę jaka miała miejsce na arenie cyrku pomiędzy słoniem a szczurem.

Szczur wgryzał się w ciało kolosa posmarowane słoniną przez organizatorów krwawego widowiska. Próżno wściekły z bólu olbrzym usiłował zapomocą trąby uwolnić się od małego drapieżnika. Wygłodniały szczur zrozumiał, że walka idzie na śmierć i życie. Szalonym susem rzucił się, zadając ostremi ząbkami śmiertelny cios. Słoń runął martwy.

Wiadomość powyższą podajemy na odpowiedzialność francuskiego czasopisma.

Drobne porady.

Jak się pozbyć mrówek w mieszkaniu? Należy rozłożyć liście pomidorowe w miejscu, gdzie je pragniemy wygubić. Nafta i sól są również pod tym względem niezawodnemi środkami. Nafta odpędza mrówki na daleką odległość. Garść soli wsypana do mrowiska zmusza mrówki do opuszczenia go niezwłocznie.

Mgła na okularach daje się we znaki wielu myśliwym, którzy z powodu złego wzroku polować muszą w szkłach. Ażeby jej uniknąć wystarczy przemyć szkło mieszaniną złożoną z 20% gliceryny i 80% wódki.

Plamy smolne albo żywiczne usuwa się z ubrania zapomocą waty umoczonej w oliwie. Oliwa łatwo rozpuszcza smołę: wystarczy plamę zetrzeć i zmyć mydłem. Plamy takie oczyścić można również przy pomocy terpentyny.

Plamy z jodyny czyści się amoniakiem rozcieńczonym w wodzie.

Plamy rdzawe na bieliźnie nasycić sokiem cytryny i trzymać nad parą.

„Myśliwska Spółka Wydawnicza"

(Sp. z ogr. odp.).

Wszyscy pp. Udziałowcy, którzy wpłacili już należność za udziały począwszy od dnia dzisiejszego otrzymywać będą „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" bezpłatnie.

Pozostali pp. Udziałowcy, po wpłaceniu należności otrzymywać będą również pismo nasze bezpłatnie.

P.P. Udziałowców, którzy dotąd nie wpłacili zadeklarowanej sumy prosimy, by to uskutecznili jaknajśpieszniej na konto „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" w P. K. O. 75.95.

We wszelkich sprawach dotyczących Spółki prosimy zwracać się do p. J. Ejsmonda, naczelnego redaktora pisma, Warszawa, Plac Trzech Krzyży 12.

Prezesem Komitetu Organizacyjnego Myśliwskiej Spółki Wydawniczej z dniem dzisiejszym zostaje p. B. Perzyński, dyrektor firmy wydawniczej, Perzyński, Niklewicz i Spółka. P. Józefowi Błeszyńskiemu, który z powodu nadmiaru pracy musiał niestety zrezygnować z godności Prezesa składamy na tem miejscu serdeczne podziękowanie za jego dotychczasową pracę.

Od Administracji.

W związku z dążeniem do dania jaknajwiększej ilości ilustracji zmuszeni jesteśmy podnieść prenumeratę kwartalną do 5 zł. Cena numeru pojedyńczego pozostaje bez zmiany 1 zł.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, J. Bleszyński, Józef Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński, Włodzimierz Korsak i B. Perzyński.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka)

Numer w cenie **1 zł.** Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu) — **5 zł.** Konto czekowe w P. K. O. № 7595

Cena ogłoszeń: strona — **40 zł.;** 1/2 str. — **25 zł.;** 1/4 str. **15 zł.;** 1/8 str. — **8 zł.;** 1/16 **5 zł.** Cena pierwszej i ostatniej strony o 50 proc. drożej.